

# Stuhr rozśmiesza Szekspira

„Poskromnię złoŃnicy”  
widziałem kilka, ale na  
żadnym tak się nie  
śmiałem. Śmiali się  
wszyscy, prawie przez  
trzy godziny. Było coś  
oczyszczającego w tym  
śmiechu, stał się w  
pewnym momencie jakby  
wartością samą w sobie.  
Nawet — tak —  
usprawiedliwieniem  
Szekspira.

Bo od jakiegoś czasu, od lat  
szczerze mówiąc, nie bardzo  
wiadomo co z Szekspirem robić.  
Głównie z komediami. Z wyjąt-  
kiem „Snu nocy letniej” i „Jak  
wam się podoba” (choć czy to  
komedia?) wszystkie właściwie  
jakiś przygłupawe, za prze-  
proszaniem uczonych szekspiro-  
logów. Zupełnie nie na nasze  
uszy i serca. Usprawiedliwiamy  
pana S. tak i siak, ale w głębi  
duszy kołaczę się podejrzenie,  
że to po nic.

A tu Barańczak, tłumacz nie-  
zwykle, proponuje oto nowy  
klucz do komedii Szekspira.  
Właśnie śmiech. Przede wszyst-  
kim śmiech słowa. I intelligen-  
cję słowa, które dlatego śmie-  
szę, że jest właśnie intelligen-  
tne. Słowa komediowych boha-  
terów Szekspira są zresztą z  
reguły inteligentniejsze od nich  
samy. Przybierają ciała głup-  
ków, fantastów albo łobuzów

i śmieją się razem z nami.  
I może, po cichu, także z nas.

Dobre odczytanie szekspirow-  
skiego śmiechu to więcej niż  
połowa sukcesu. Jerzy Stuhr  
może ani nawet myślał, jak  
czarodziejską pateczkę Prospera  
dostanie od Barańczaka, gdy  
zamawiał u niego nowy prze-  
kład. I chwala mu, że nie prze-  
oczył ni przecinka w reżyser-  
skiej robocie. Przeciwnie — w  
tym przedstawieniu aktorzy ba-  
wią się słowami nie gorzej niż  
my słuchaniem i oglądaniem  
aktorów. I nareszcie wiadomo,  
po co Szekspir był wielkim  
poetą. Nauki moralne płynące  
z jego komedii... No tak, oczy-  
wiście. Ale dziś śmieją się z  
nich najmłodsze licealistki. Zaś  
jeśli śmieją się rzeczywiście —  
to dlatego, że rozmieszzone sobą  
słowa okazują inny, wspaniale  
beziinteresowny wymiar naszego  
międzyludzkiego porozumienia.

Do tego śmiechu został za-  
przejęty dosłownie cały teatr.  
I foyer, i korytarze, i scena, i  
widownia wreszcie, która też  
siedzi na scenie. Tak jak Ba-  
rańczak bawił się słowami,  
Stuhr bawił się teatrem. Od po-  
mysłów aż kipi. Kilkuwersowe  
dialogi, innemu reżyserowi nie  
zaprzatające głowy dłużej niż  
minutę, tu urastają do osob-  
nych epizodów, dziełek samych  
w sobie. Wszystko, na czele ze  
scenografią i aktorstwem, ba-  
lansuje na delikatnym pograni-

czu pastislowej szmiry i bra-  
wurowego kabaretu. Konwencje  
nie mają znaczenia, wszystkie  
chwytły dozwolone. Kasia-zło-  
nica w pantalonach i gołym  
szkielecie pod krynolinę doku-  
cza Biance wieszając ją za ręce  
i podciągając na linie. Petru-  
chio zjawia się na własny ślub  
przebrany za punka. Pinałna  
scena jest parodią uczt rzym-  
skich.

Aktorzy, widać, mają frajdę  
nie mniejszą od widzów, a by-  
łoby co najmniej niełojalnością  
wobec pozostałych wyróżniać  
kogokolwiek, wszyscy zasłużyli  
na brawa, którymi ich hojnie  
odbarzyła premierowa publicz-  
ność. Nie szukajmy „wielkich  
ról”, zaś określenie „wielkich  
jak na ten teatr” krzywdziłoby  
niejednego naprawdę doskona-  
łego w tym spektaklu aktora.  
Nie chodzi o cenzurki. Chodzi  
o wygraną teatru. A jeśli wy-  
grywa teatr, wygrywamy i my,  
wybredni widzowie.

Tadeusz NYCZEK

Teatr Ludowy w Nowej Hucie:  
„Poskromnienie złoŃnicy” Wil-  
liama Szekspira w przekładzie  
Stanisława Barańczaka. Reży-  
seria Jerzy Stuhr. Scenografia  
Elżbieta Krywka. Muzyka Jo-  
lanta Szczerba. Choreografia  
Jacek Tomasiak. Premiera 5  
czerwca 1991.